

ANNA BOLECKA



Biały kamień

Anna Bolecka

BIAŁY KAMIEŃ

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68384-74-1

Zdjęcie na okładce pochodzi ze zbiorów rodzinnych Noemi Bogusławskiej. Przedstawia jej dwóch pradziadków, którzy byli Żydami, a zmarli w latach 30. XX wieku. Za jego udostępnienie autorka i wydawca tego e-booka składają jej spadkobiercom uprzejme podziękowania.

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Ojcu

* * *

„Jestem Sierotą, sam – wszakże znajduje się mnie wszędzie. Jestem Jeden, lecz sobie przeciwny. Jestem zarazem Młodzieńcem i Starcem. Nie znałem ni ojca, ni matki, ile że trzeba mnie dobywać z głębin, jak rybę. Albo znowu spadam z nieba jako biały kamień. Tułam się po górach i lasach, lecz jestem ukryty w wewnętrznym człowieku. Dla każdego jestem śmiertelny, a jednak nie dotyka mnie odmiana czasu”.

Carl Gustav Jung

* * *

Nie znałam mojego pradziadka.

Urodziłam się czternaście lat po jego śmierci.

Kiedy miałam pięć lat, znalazłam się pewnego dnia w domu, gdzie skrzypiała podłoga z jasnych sosnowych desek, a w sieni stały wiklinowe kosze pełne zielonego agrestu.

Ktoś mnie zawołał. Otworzyłam drzwi i weszłam do przestronnej kuchni. Na łóżku siedział stary człowiek i uśmiechał się. Wyciągnął do mnie rękę. – Jestem twoim pradziadkiem – powiedział.

Nic więcej nie pamiętam.

Trzydzieści lat później mój ojciec mówił: – Nasz dziadek był pięknym mężczyzną.

Przeżył dobre życie. O wnukach mawiał: „moje gienierały”.

W ciszy, która nas otacza, można czasem usłyszeć dalekie głosy. Wydaje się, jak gdyby mówiło jednocześnie wielu ludzi stojących pod wielką ścianą. Jeden z nich odchodzi na bok, zbliża się. Teraz słyszysz wyraźniej, słowa nabierają sensu. Jego głos cię przyzywa. Wchodzisz do jasnej kuchni. Na łóżku siedzi ktoś, kogo widzisz pierwszy raz w życiu. To najbliższy ci człowiek na ziemi. Patrzycie na siebie.

Czujesz, że to początek świata. Twojego świata.

* * *

– Anisja, gdzie są moje buty? – Pradziadek stał pośrodku kuchni i rozglądał się bezradnie.

– Buty, buty, myślałby kto, że buty są najważniejsze – powiedziała Anisja i odwróciła się.

– A tak, bo jak umrę, to nikt nie pomyśli o mnie, tylko o moich butach. Buty mnie przeżyją.

Synowa podała mu czarne sztyblety.

– Są – powiedziała i uśmiechnęła się.

– A gdzie jest moja „Pomalina”? Znow ktoś brał, a ja muszę wyjść. To jak? Wyjdę w zabłoconych butach? – Siedział teraz na ławce z jednym butem wsuniętym na stopę, drugą starannie owiniętą w onucę trzymając tuż nad podłogą. – Długo tak będę się męczył? – stęknął.

– Ojciec i zabłocone buty – zaśmiała się synowa. – Kto jak kto, ale ojciec ma zawsze buty wyczyszczone na glanc, a poza tym tyle razy mówiłam, że nie „Pomalina”, bo to było przed wojną, tylko „Dobrolin”. Teraz ojciec używa pasty „Dobrolin”.

– Dobrolin nie dobrolin, takiej pasty jak przedwojenna już teraz nie ma. Trzeba było tylko dobrze popłuć i błyszczało się jak... i buty też nie takie – powiedział Pradziadek. – Jakie

ja miałem dawniej buty... Sam je szyłem. Najważniejsza w życiu rzecz to umieć wszystko zrobić samemu. Nikogo nie musiałem prosić, wyszykowałem buty, z cholewami, z juchtowej skóry... W zimie ciepłe, w lecie noga się nie pociła. Mówię ci, Gienierał, jak w raj. A może ty wiesz, gdzie jest ta moja... ten „Dobrolin”? – spojrzał na wnuka.

– Wiem – powiedział chłopiec i zeskoczył z krzesła.

– No – stęknął Pradziadek, biorąc pudełko z napisem F. A. i G. PAL. – Te moje buty nie tylko mnie służyły. Takie były dobre, że mnie niejeden prosił – sprzedaj, ale nie sprzedam, tylko dalem stryjowi Wiktorowi, wiesz, Anisja? Całą wojnę w nich przechodziłem, ale jak przyszedł dwudziesty rok, to mu te buty dałem. On był dużo ode mnie młodszy, ale wzrostem byliśmy równi i stopę też mieliśmy taką samą. Trochę narzekał na początku, że but zbyt do mojej nogi przyzwyczajony, ale już po tygodniu tańczył i tak tańczący poszedł wojować. W moich butach stryjo pogonił bolszewika i wygrał wojnę.

Któregoś razu, jesienią, a wojna już się kończyła i wojsko wracało do domu, jego oddział zatrzymał się na kartoflisku pod lasem. Na skraju sobie siedli i ćwiczili „uwerturki”. Gienierał, ty nie wiesz, że stryjo pięknie grał na kornecie w orkiestrze wojskowej. Grają tak, już trzecią uwerturkę przećwiczili, a tu z lasu wychodzi włóczęga. Wtedy wielu było takich, chodzili po kraju, nie wiedzieć z czego żyli, ale jakoś żyli. I właśnie taki chłopina wyszedł na to pole. Usiadł i słucha. „Może byście i mnie dali pograć”, zagaduje. „A wy, dziadku, znacie te krzyżyki i bemole?”, pytają go. „Nie znam – mówi – ale wam grania nie zepsuję”. Rozchyła płaszcz, widać, że nie ma spodni tylko jakieś obdarte gatki i łapcie na nogach, a na szyi kołnierzyk bez koszuli. Wyjmuje spod płaszcza trąbkę i zaczyna grać. I tak gra, że wszystkim dech zaparło.

Stryjo Wiktor trzęsionki dostał. Ty wiesz, Anisja, że stryjo kochał muzykę i jak słyszał coś pięknego, to albo płakał jak małe dziecko, albo nim rzucało.

Skończył grać ten włóczęga i chce iść, ale go Wiktor zatrzymuje. „Dziadku – mówi – butów nie macie. Przymierzcie”. Przymierzył, trochę były za duże, ale dobre. Zamienili się. Wiktor wziął jego łapcie, a jemu dał moje buty. I z wojny bez butów wrócił.

– Tak ojciec o wojnie opowiada, jakby tam ludzie nie walczyli, nie ginęli, tylko jakieś gatki, trąbki, buty... – odezwała się synowa.

– A co, Anisja, czemu to wojna ma być ważniejsza niż piękne granie czy dobre buty albo to, że ktoś idzie polną drogą i widzi, jak wiatr łany żyta przygina do ziemi? Ty myślisz, że jak żołnierz idzie na wojnę, to on wierzy, że świat zmieni? Może on ogląda rosę na liściach, słyszy, że mu burczy w brzuchu, bo głodny, że mu się chce spać, że mu guzik wisi na ostatniej nitce.

Tak, Anisja, o tym on myśli, a nie o śmierci, bo jakby o śmierci myślał, to by zaraz wziął nogi za pas, i już by go nie było. Myślisz, że trąbka nieważna, a wiesz, że ten stryja kornet to mu życie uratował? Pięknie grał, to go przydzielili do orkiestry dętej, a jego przyjaciela do artylerii. I co? Tamtego rozerwało na strzępy, że nawet z kawałków nie dało się złożyć, a stryjo wędrował ze swoją orkiestrą, aż szczęśliwie przywędrował do domu. Tak to jest, Anisja, a nie tak jak ty sobie wyobrażasz.

Umilkł i zaczął czyścić buty.

– Coś mi ten „Dobrolin” nie za dobry. Patrzcie, jakie bez połysku – powiedział i zaczął popluwać na czubek bucika. – Już ja go wyczyszczę własnym sposobem.

Po chwili wyszedł przed dom i usiadł na wąskiej rozchwianej ławeczce, która stała tu, zanim zamieszkał w tym domu z synem i młodą synową.

Nic się nie działo. Siedząc nieruchomo, zasnął na krótko płytkim snem starca. Drzemał, leciutko poświsując przez nos. Był nie ogolony. Krótkie siwiejące włosy pokrywały całą jego twarz. Nogi w błyszczących trzewikach wysunął daleko przed siebie. Młode koguty o małych główkach z jasnoczerwonymi grzebieniami podchodziły do niego i przyglądały mu się. Nagle otworzył oczy i sięgnął do kieszonki. Wyciągnął płaski zegarek. Długo sprawdzał czas, jakby

nie mógł uwierzyć, że jest za siedem dwunasta.

Ostatnio coraz częściej patrzył na zegar. W domu miał kilka, wisiały na ścianach, stały na etażerze i w różnych dziwnych miejscach. Do szuflad chował zepsute, z wybebeszonymi wnętrzami. Sypały się z nich maleńkie śrubki, które Gienierał wydłubywał długą szpilką ze szczelin w podłodze.

Każdy z zegarów tykał w innym rytmie, a ich głosy zlewały się w jeden monotonny dźwięk, który towarzyszył Pradziadkowi od rana do wieczora. Nocą budził się i nasłuchiwał w ciszy. Wciskał głowę w poduszkę, ale dochodziło spod niej głucho tykanie. Sięgał ręką i patrzył, szeroko otwierając oczy w ciemnościach. Była za siedem dwunasta, ale zupełnie nie mógł w to uwierzyć.

Teraz siedział przed domem. Dzień był pogodny i zdawało się, że tak będzie zawsze. Głęboko wciągnął powietrze. Z pobliskich pól doleciał go zapach kończącego się lata. Wiedział, że wysokie niebo ma w sobie przejrzystą czystość. W powietrzu unosił się zapach ostatnich letnich kwiatów o nasyconej barwie, lekko wędnących liści, suchego ziarna i dojrzewających jabłek.

Tego dnia obudził się o dwa lata starszy i poczuł, że jest już starcem. Rozprostował kości, które zgrzytnęły nieprzyjemnie. Bolały go wszystkie stawy, w głowie mu szumiało i wiedział, że tak będzie do końca, że ten uporczywy ból już go nie opuści. Zrozumiał, że czas stał się w jego rękach zetłłą materią, której nie warto cerować. Minęła pora naiwnych pytań, nagłych olśnień, małych przyjemności.

Zawsze lubił chwilę przebudzenia. Było ciepło, wygodnie, pod powiekami drżało migotliwe światło, odgłosy budzącego się domu dobiegały łagodnie, nie naruszając sennych obrazów. Ale nie tego ranka.

O świetle ze snu wyrwał go własny jęk. Leżał w łóżku, bezradny, słaby, i czuł swoje ciało jak przeszkodę, jak ciężar ponad siły. Otworzył szeroko oczy. Na ścianach wisiały zegary. Ich uporczywe tykanie wypełniało całe wnętrze. Każdy pokazywał inny czas. Sięgnął pod poduszkę i mocno zacisnął dłoń.

Kiedy rano Anisja weszła do kuchni, zdziwiła się widząc, że jeszcze leży. Podeszła bliżej. Spał lekko pochrapując. Dotknęła go. Obrócił się na bok, z dłoni wysunął mu się zegarek.

– Tato, niech tata się obudzi – powiedziała.

– Która godzina? – podniósł się gwałtownie. – Która godzina?

– Ósma. I czego ojciec krzyczy?

Spojrzał na nią zdziwiony. Zwykle była dobra i łagodna, więc może dziś zobaczyła w nim coś nowego, co ją przestraszyło. Jest starym człowiekiem. Może jego drżące ciało przypomniało jej, że i ona kiedyś umrze?

A jednak Pradziadek nie myślał tego ranka o umieraniu. Życie wciąż jeszcze zdawało mu się silniejsze od śmierci. Promienie słońca wpadały przez okno. Listki rozmarynu drżały delikatnie, z sufitu zbiegał w dół po niewidzialnej nitce mały pająk.

– Dlaczego czas zawsze tylko się kurczy? – spytał, ale nie było nikogo, kto mógłby mu odpowiedzieć.

Ten dzień, jak tyle poprzednich, minął niepostrzeżenie. Jak zwykle o zmierzchu, Pradziadek leżał na łóżku w kuchni, czytając „Mały Dziennik”. Gienierał przysiadł na stołeczku pod piecem, zagapiony w ogień.

– Mówię ci, żebyś nie gryzł pazurów – odezwał się Pradziadek. – Szpony ci w końcu wyrosną jak diabłu. Ja mogłem robić w dzieciństwie dwie rzeczy: obgryzać paznokcie albo dłużyć w nosie. Wybrałem dłużyć, bo to trzeba robić w samotności. I dobrze na tym wyszedłem.

Gazeta zsunęła się Pradziadkowi na brzuch, a on sam zapatrzył się w sufit. Wnuczek

przerwał swoją mozolną pracę i spojrzał na niego ukosem. Jego pociemniała twarz była nieruchoma, tylko wokół ust dało się zauważyć delikatne drganie.

Naftowa lampa stojąca na stole filowała coraz bardziej.

– O, znowu – burknął Pradziadek i chłopiec nie wiedział, czy to „znowu” odnosi się do dalekiej przeszłości, w której znów coś się wydarzyło, czy do filującej lampy. A może chodziło o Julcię Słowik, która właśnie teraz, jak zwykle o tej porze, przesuwiała na górze krzesło, żeby usiąść do fortepianu.

Gienierał znał każdy jej ruch, każdy gest. Teraz prosi siostrę o akompaniament. Ona się wzbrania, bo wie, że sąsiedzi wszystko słyszą. I to, że nie mieści się w tempie, i to, że czasami gubi dźwięki, a wtedy Julcia przerywa śpiew i tylko patrzy na nią w milczeniu. Nic nie mówi, żeby nie nadwerężyć głosu, tylko patrzy, i ta cisza przedłuża się.

– O, znowu – powiedział Pradziadek i chłopiec spojrzał w górę.

Lampa przestała filować, z sufitu leciał czarny śnieg, powoli osiadając na meblach. I tak było zawsze, ale chłopiec nigdy nie mógł zrozumieć, w jaki sposób z lampy może wydobyć się tyle sadzy.

Na górze Julcia nadal namawiała siostrę do grania. Trwało to już dłuższą chwilę, aż wreszcie rozległy się pierwsze dźwięki. Głos Julci zabrzmiał jeszcze nieśmiało, a potem coraz dźwięczniej i było tak, jakby rozsypały się korale i ktoś je szybko zbierał, ale one wciąż wypadają z rąk i podskakują na śliskiej podłodze.

Julcia długo szukała swojego dźwięku. Tak właśnie określiła to pewnego dnia, stojąc na schodach pod drzwiami.

– Znalazłam swój dźwięk – powiedziała wtedy i Gienierał przypomniał sobie te uciekające po podłodze koraliki.

– O, znowu – stęknął Pradziadek i przytrzymał gazetę na brzuchu.

Teraz Gienierał wiedział już na pewno, że chodzi o Julcię, i że zaraz będzie śpiewała pieśń o fiołku. To było jak rozmowa: Julcia opowiadała ją śpiewem. Dużo smutku i słońca, i słaby, delikatny głos fiołka zdeptanego stopą płoczej pasterki.

Od roku Julcia Słowik chodziła do pana Apfelbauma na lekcje niemieckiego, a on nie chciał od niej pieniędzy, bo był wielbicielem Mozarta i wpadał w zachwyt, słysząc, jak pięknie Julcia śpiewa i mówi po niemiecku.

– Mutter, ja się urodziłam, żeby śpiewać Mozarta. Kocham tę muzykę i niemiecki język, on jest taki melodisch, taki... liedlich. Ja to muszę śpiewać – mówiła do matki, wywołując na jej twarzy błogi uśmiech.

Do kuchni weszła Anisja wnosząc ze sobą zapach świeżo wypranej i wykrochmalonej bielizny.

– A wy znowu próżnujecie. Czas nie czeka – powiedziała. – Wie ojciec – zwróciła się do Pradziadka – że ta Słowik to się tleni. Taka Żydóweczka, a chce być podobna do jakiejś Gretchen... Co się tu dzieje? – jęknęła, widząc wyszorowaną tego dnia podłogę całą pokrytą płatkami sadzy.

– No znowu – powiedział Pradziadek.

Julcia skończyła śpiewać i Gienierał wybiegł z kuchni. Cicho wszedł po schodach na górę. Po chwili trzasnęły drzwi. Dziewczyna wychodziła z domu. Wychylił się i patrzył, niezauważony, jak szybko zbiega w dół, a jej długie włosy związane brązową wstążką jaśnieją w mroku. Z kieszonki spodni wyjął scyzoryk i na drewnianej poręczy wyciął pierwszą literę słowa „utleniona”.

* * *

Tego roku wrzesień zaczął się pięknie, polami snuło się babie lato, powietrze było łagodne i migotliwe. Jeszcze poprzedniego dnia na niebie nie było śladu chmurki, ale nocą

zaczęło padać, zerwał się wiatr, który szarpał gałęziami drzew, unosząc w powietrzu śmieci i rozmokłe papiery. Od rana po niebie gnały skłębione chmury. Było chłodno, wiatr szedł górą, przed domami parowały kałuże.

Gienierał wyszedł tego ranka w czapce z daszkiem i ciepłym paletku, na nogach miał przydeptane letnie buciki.

– Tylko nie stercz przed domem, pobiegaj, żebyś nie zmarł – powiedziała matka i lekko pchnęła go w stronę drzwi.

Na drodze nie było nikogo. Gdzieś obok deszczowo piał koguty. Co chwila wyglądało słońce i zaraz znikało za pędzącymi chmurami. Spojrzał w górę. Nad domami krążyło stado ptaków. Światło przesuwalo się po ich grzbietach i były jak kałuże, w której przegląda się błękitne niebo. Po chwili zataczały koło i wtedy chwytaly blask jasnymi brzuchami, a ich grzbiety mieniły się granatowo. Obserwował je próbując zrozumieć zasadę tej zmienności. Zakręciło mu się w głowie, spuścił wzrok i zobaczył, że stoi w kałuży, a skarpetka wyłaząca z dziurawego buta nasiąka wilgocią.

Z domu wyszedł Pradziadek. Nie zauważył małego, bo kroczył z wysoko podniesioną głową, trzymając pod pachą swój ogromny czarny parasol. Spodnie wisiały na nim luźno i można było policzyć fałdy opadające na wyczyszczone do połysku czarne buciki.

– Co się tak gapisz?

Gienierał odwrócił się gwałtownie. Za nim stała Julcia Słowik i gryzła cebulę. Jej puszyste złotorude włosy rozwiewały się na wietrze, słońce właśnie wyszło zza chmur i rozświetliło jej twarz. Cała w nagłym blasku, z kilkoma piegami na bladej twarzyczce wydała się chłopcu bardzo piękna. Patrzyła na niego z góry. Resztkę cebuli rzuciła pod nogi. Uśmiechnęła się ni to z wyższością, ni z przyjaźnią, odkrywając przy tym drobne ostre zęby pokryte białymi plamkami.

– Powiedz o tak – rozkazała nagle, zaciskając mocno zęby, i wycodziła: – Nie mogę zgryźć chleba.

Gienierał znieruchomiał obezwładniony strachem i zachwytem.

– Nie mogę zgryźć chleba – powtórzył posłusznie, prawie nie otwierając ust.

– To zgryź gównu – zawołała Julcia, odwróciła się i w podskokach pobiegła uliczką w stronę rynku.

* * *

– Gienierał, zostaliśmy już tylko my dwaj – powiedział Pradziadek następnego dnia, kiedy po południu zostali całkiem sami w kuchni, gdzie przy wygasłym piecu bawiły się małe puchate kocięta, a zegary cicho posuwały czas do przodu.

– Nikt nie umie tak podawać ognia jak ty. Zapaliłbym fajeczkę. – Pradziadek usiadł przy stole.

Gienierał z niecierpliwością czekał na tę chwilę w ciągu dnia, kiedy dziadek wyjmie papierosa z płaskiej papierośnicy i będzie czekał, aż wnuk zapali zapałkę jednym zręcznym ruchem i poda mu ją.

– Dobrze, całkiem nieźle. – Pradziadek zaciągnął się głęboko.

Lekko nadąsane usta chłopca rozchyliły się w uśmiechu, jego śniade policzki pokryły się delikatnym rumieńcem. Po chwili Pradziadek zgniótł niedopaloną połówkę papierosa i przyciągnął do siebie chłopca. Unosiło się wokół niego miłe ciepło, pachniał gotowanym mlekiem i czymś słodkim, jakby w zaciśniętych piąstkach trzymał lepkie cukierki.

Pradziadek wziął jego małe ręce w swoje i rozchylił – były miękkie, lekko wilgotne i puste. Wsunął rękę do kieszonki jego spodni i wyciągnął kolorowe papierki. Spojrzał zawiedziony.

Chłopiec uśmiechnął się chytrze i z drugiej kieszeni wyjął sugusa. Podzielili go na pół i

żuli w milczeniu.

– Bańki – pierwszy odezwał się Pradziadek i zrozumieli się od razu.

Po chwili obaj pełzali po podłodze, a mydlane bańki pękały na sosnowych deskach. Rozchlapana woda, zapach dziecięcej zabawy, a może tęczowe blaski migające w powietrzu sprawiły, że z dna pamięci Pradziadka wypłynął obraz kąpiącej się dziewczynki.

Miała wypływać od słońca włosy sterczące jak garść słomy nad drobną twarzą. Była piegowata i brakowało jej przednich zębów. Balia, w której się kąpała, była tak wielka, że koszula unosiła się na wodzie jak kwiat. Czy wtedy po raz pierwszy zobaczył Podolankę, czy widział ją już wcześniej? Gdy się nie wie, co nastąpi później, i jak ważne jest to, co właśnie nas spotyka, pamięć działa kapryśnie, pozostawiając nam na przyszłość zaledwie okruchy rzeczywistości.

Mały Pradziadek stanął z boku i niemo przyglądał się piegusce. Piszcząc rozpryskiwała wokół wodę. Patrzyła spod zmrużonych powiek i gładziła wokół siebie koszulkę.

– A ty masz taką kreskę i jak będziesz duża, to ci się przekręci – powiedział nagle mały Pradziadek. – Pokaż! – rozkazał po chwili.

Dziewczynka patrzyła w milczeniu, a jej jasnoniebieskie skośne oczy zaokrągliły się ze zdziwienia.

– Jak się przekręci? – spytała.

– W poprzek. A w ogóle dziewczuchy mają źle, nie mają kuśki.

– Mają – zaśmiała się i prysnęła mu wodą z balii w twarz. – Mają – powtórzyła już bez śmiechu – tylko schowaną w środku, żeby takie gawniuki jak ty nie widziały.

Odwrociła się do niego tyłem. Mogło się zdawać, że nie zwraca na niego uwagi, ale on stał nadal, zapatrzone. Nagle dziewczynka poczerwieniała, chwyciła się za brzuch i jęcząc wygramoliła się z balii. Mokra koszula oblepiła jej pośladki i nogi.

– Och, bid try czorty – piszczała i zawodziła. – Jak tiazko! – Chwyciła kłęb ścierek przygotowanych do prania i unosząc koszulkę, wepchnęła go pod spód. Jej dziecięce łono było płaskie i gładkie. – Jak tiazko! – zawodziła bez ustanku.

Patrzył na nią, na jej zognioną nagle brzuch, szeroko rozstawione nogi, spomiędzy których miało się wyłonić małe, ciepłe, śliskie, jak w oborze, kiedy z krowy wypadało ciele. Drżał i krzywił twarz, jakby czuł prawdziwy ból. Chciał być tą małą dziewczynką, która teraz tylko udając boginkę płodności, za kilka lat będzie nią naprawdę, a on ze swoim pętającym się między nogami ptaszkiem, który służył co najwyżej do pięknego siusiania w górę i na odległość, wciąż będzie jej zazdrościł daru zwielokrotnienia.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI